**Szyszki chmielu**

Szłam chodnikiem ulicy Starościńskiej z głową spuszczoną w dół, z wzrokiem wbitym w betonowe płyty. Słońce dopiero kładło się na asfaltowych jezdniach tworząc mirażowe kałuże. Jego promienie nie zdążyły jeszcze zetrzeć kurzu osiadłego z nocną mgłą na gmachu poczty. Jasna, jasna, jasna, czerwona. Liczyłam kostki brukowe pod stopami i myślałam o tym, że Asyryjczycy byli prekursorami w konstruowaniu betonowych budowli. Że następnie Rzymianie wznosili z niego monumentalne świątynie o półkolistych sklepieniach. Że w XIX wieku kompozyt ten upowszechnił się do tego stopnia, by zupełnie stracić duszę. Na lekcjach historii siedziałam w skupieniu, ale co robiłam kiedy polonistka twardym tonem zakazu przestrzegała od rozpoczynania zdania od *że*?

Przystanęłam, by spojrzeć na mury malborskiego zamku i dzielące mnie od nich srebrne wody Nogatu. To one sprawiały wrażenie nieosiągalności historycznego azylu, które mnie fascynowało. Głęboki cynober cegieł działał na moje oczy jak magnes. Nigdy bardziej nie zbliżałam się do fortecy. Nie przekraczałam rzeki z obawy przed utratą malowniczego obrazka, zamkniętego przez meandry mojej wyobraźni w bańce
z kruchego szkła. W tłumie turystów, oblegających warownię w lecie niczym wojska polsko-litewskie króla Jagiełły w 1410 roku, mogłaby rozprysnąć się jak lustro Królowej Śniegu i utkwiwszy małym odłamkiem w zakamarku mojego umysłu, z bólem przypominałaby o minionym śnie. Nie ryzykowałam.

Skręcałam w polną ścieżkę, gdy słońce zaczęło skraplać się na moim karku, padając pod coraz większym kątem na ziemię. Wieże krzyżackiego zamku ostatni raz zamajaczyły za moimi plecami ognistym pomarańczem. Nad łąką unosił się odurzający zapach ziół, który po chwili wypełnił całe drogi oddechowe. Szukałam dojrzałych owocostanów chmielu, którego pnące łodygi trzymały w uścisku drzewa i krzewy. Większość szyszek została zebrana, pozostałe kołysały się wysoko ponad moją głową. Zrezygnowana tonęłam w morzu złocistego dziurawca, gdy ciszę rozdarł czysty głos. Stara modlitewna pieśń odbijała się od konarów wierzb i gładkiej tafli strumyka. Rozejrzałam się wokół, ale po polach poruszał się tylko wiatr, grając na liściach topoli. Podeszłam do niszczejącej wieży, która od dawna groziła zawalaniem. Objęłam rękami jej łagodną bryłę i oparłam czoło o ścianę. Chłód kamienia równoważył temperaturę mojego ciała, gdy zdumiona odkryłam źródło śpiewu. Dochodził z wnętrza wieży. Cofnęłam się kilka kroków i spojrzałam w górę. Słońce było w zenicie, mrużyłam oczy. Dostrzegłam maleńkie okienko niemal na szczycie smukłej budowli. Za zardzewiałą kratą bielił się skrawek pergaminowej cery. Kobieta trwała w zastygłej pozie, poruszając tylko bladymi wargami ust wciąż nuciła o Bogu, rodzinnym domu, siostrach i wiernym kochanku. Zgaszone oczy, w których odbijały się cienie utraconej miłości, błądziły ponad linią widnokręgu.

- Może pani pomóc? Jak się pani tam znalazła i jak się nazywa? – z mojej piersi daremnie wydzierały się słowa desperacji. Kobieta nie reagowała na moją obecność. Dopiero po dłuższej chwili umilkła i kiedy nasze spojrzenia się spotkały, z niemych ruchów warg wyczytałam imię: *Aldona.* Skinęła dłonią, bym podeszła bliżej. Jej długie ramiona majestatycznie poruszały się w powietrzu, a drobne palce dłoni rwały owoce chmielu, natychmiast je upuszczając. Wrzucałam do fartucha szeleszczące szyszki, wdychając lekko drażniący aromat ich łusek. Kiedy skończyłam, wieża była pusta. Tylko echo nieśmiało przemycało melodię kobiecego głosu do symfonii, które komponował wiatr.

Postrzępiony brzeg mojej popielatej sukienki zlewał się z szarzejącą z dnia na dzień ulicą. Stygły nagrzane żarem budynki malborskiego miasta, gdy późnym popołudniem wracałam ulicą Starościńską. Miałam we włosach aromaty polnych ziół, a w płóciennym materiale lekarstwo na reumatyzm mamy i myślałam o tym, że zapach chmielu nierozerwalnie związał się z łagodnym tonem pustelniczego śpiewu i utkwił w mojej świadomości jak fragment baśniowego szkła.

**Aleksandra Przybyło, 17 lat**